TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.......................................$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii...............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 41. Chicago, Ill., Czwartek, 13-go Października, 1898. Rok XII.

Amalunga czyli córa puszcz.

Opowiadanie z czasów wojen pomiędy Europejczykami a Indyanami w Ameryce Północnej.

(Ciąg dalszy).

VI.

Traper, przepędziwszy wiele lat na puszczach, znał się na rozmaitych środkach lekarskich. Ztąd też zabrawszy się do Indyanina, udało mu się zupełnie do przytomności go przywrócić. Ale obejrzawszy jego ranę, strząsnął głową.

— Życie Komanszy — rzekł — jest twardsze od skóry bawolej, jednakże ta dziura w czaszce załatać nie da się nigdy. Długo on nam nie pożyje.

Ciężko ranny Indyanin zdawał się pojmować te słowa, gdyż pytająco zwrócił swe oczy na trapera. Jednakże był to ostatni rozumny wzrok, bo zaraz oczy zaczęły się mienić — Indyanin począł konać. Usta cichym szeptem się poruszały, jakieś niezrozumiałe słowa wymawiał, Henrykowi się zdawało, iż dosłyszał słowo: Amalunga.

Obydwaj mężowie wzruszeni, stali przed konającym i pobożnie złożyli ręce do modlitwy za duszę tego, którýby może był dobrym chrześcianinem, gdyby kiedykolwiek był słowo Boże usłyszał.

Indyanin umarł, a dusza jego wedle mniemania Indyan poszła tam, gdzie nie ma "bladolicych", a gdzie będzie mogła do woli polować na bawoły, cietrzewie i jelenie.

Kiedy Henryk wpatrywał się tak na zgasłe lica umarłego, przejęła go nagle myśl wielka.

Jakże nie byłoby to dobrze — myślał sobie — gdybym w ubiorze tego naczelnika dostał się w ciemności do obozu Indyan? Umiem przecież dosyć biegle mówić językiem Komanszów, a resztę można pozostawić przypadkowi.

Myśl swoję oznajmił traperowi, który chętnie na to przystał.

— Noc będzie ciemna — rzekł — i śmiałe twoje przedsięwzięcie może się wybornie udać. Jeźli Wszechmocny będzie z tobą, będziesz mógł dziecko moje oswobodzić.

Ściągnęli więc z niebożczyka ubiór. Henryk z postawy był podobnym Indyaninowi, zatem ubiór zupełnie mu przystawał. Traper sam ustroił Henryka, a ponieważ znał się na indyańskiem ubraniu, przeto nie długo Henryk wyglądał jak prawdziwy naczelnik Komanszów. Zdradziłaby go jedynie biała twarz, ale na to była rada. Indyanie zwykle noszą przy sobie woreczek z czerwoną okrą, którą i tak już czerwoną swą skórę jeszcze więcej czerwienią. Indyański niebożczyk miał także woreczek taki przy sobie, a traper niebawem umazał Henryka tak, żeby go nawet rodzona matka nie była poznała.

Henryk był teraz prawdziwym Indyaninem co do ubioru i koloru skóry, a kilka orlich piór dopełniło stroju naczelnika.

Mimo smutnego położenia, musiał się traper uśmiechnąć.

— Doprawdy — rzekł — gdybym cię teraz trafił gdzie samotnego, kto wie, czybym się z tobą obszedł po przyjacielsku, bo jesteś skończonym Komanszą... Ale to nie szkodzi, owszem na naszą korzyść.

Tymczasem ciemność zaległa okolicę, tylko ogniska Indyan oświecały miejsce obozowiska. Wygodnie więc Frank z Henrykiem mogli na wszystko uważać, co się tam działo. Widzieli rozstawione czaty, które oparte na dzidach, stały na krańcach obozu niby kamienne posągi. Po za czatami pasły się mustangi, przywiązane do kołków. W środku zaś znacznej obozowej przestrzeni rozłożyli się Indyanie przy kilku ogniskach.

— Może być — rzekł traper — że Amalunga znajduje się w tym tam oto szałasie, albowiem widziałem zeń wychodzącego starego naczelnika. Zdaje mi się nawet, że to był Tlaskala. Pod jego opieką jest wprawdzie Amalunga tymczasem bezpieczną, ale obawiam się, że naczelnik Amalungę pozna jako swą wnuczkę, a wtedy wszystko stracone.

— Nie traćmy nadziei — odpowiedział Henryk.

— A patrz no! — zawołał nagle traper — tam oto okazuje się morderca "Białodrzewia", przystępuje do starego naczelnika. Rozmawiają... odstępca wskazuje na step, teraz wskazuje na szałas... o, teraz mógłbym przysiądz, że się tam Amalunga znajduje.

Henryk uważając spostrzeżenia trapera za słuszne, nie spuścił także oka z obozu, lecz nie zaszło nic nowego, a stary naczelnik wrócił do szałasu.

— Teraz czas na mnie — rzekł Henryk, zwracając się do trapera.

Frank skinął głową na znak potwierdzenia.

— Mam prawie ochotę iść z tobą — rzekł — albowiem tęsknota mnie ciągnie do mego dziecka.

— Ale przez to cały nasz zamiar obróciłby się w niwecz — zauważył Henryk.

— Prawda, prawda, mój przyjacielu — potwierdził traper — idź więc sam z Bogiem, a ja tu ztąd będę uważał, co się tam dziać będzie.

Po tych słowach podał Henrykowi rękę, poprawił mu nieco pióra na głowie i zmierzył go jeszcze raz oczyma.

— Bądź śmiałym — rzekł — i dla najbystrzejszego oka jesteś Indyaninem, nawet najpodejrzliwszy strażnik na posterunku niczego się nie domyśli. Tam — tu wskazał traper ku zachodowi — tam zdaje mi się być najwygodniejszy punkt, z którego najłatwiej dostać się do obozu. Strzeż się zaś, abyś się nie zbliżył nadto blizko do indyańskich mustangów, te bowiem natychmiast poznałyby w tobie obcego i przez rżenie i parskanie zdradziłyby ciebie. Psów, dzięki Bogu, obawiać się nie potrzebujesz, nie widziałem bowiem żadnego. Te zdradziłyby cię napewno, choćbyś i w najciemniejszej nocy chciał wnijść do obozu... Idź z Bogiem!

Henryk odszedł. Przedarł się przez zarośla na około wzgórza i niezadługo zniknął z oczu trapera, który się potem udał na miejsce, z którego ogniskami oświecony obóz lepiej i wyraźniej mógł widzieć.

Minęła dobra godzina, a nic jeszcze w obozie Indyan się nie zmieniło. Traper patrzał wytężonym wzrokiem, ale nic, coby go obchodzić mogło, nie dojrzał, Indyanie spokojnie spoczywali. Ich brunatno-czerwone ciała leżały rozciągnięte przy ogniskach, tylko od czasu do czasu przechodził ten lub

ów od swego ogniska do drugiego, aby bądź to odwiedzić przyjaciela, albo też komu co powiedzieć.

Żadne poruszenie Indyan nie uszło oka trapera. Mianowicie wlepił swój wzrok w miejsce, gdzie Henryk stosownie do jego rady ukazać się powinien. Wreszcie zdawało mu się, że go widzi.

W samej rzeczy na polu ukazała się postać. Niby ze ziemi wyrosła, tak nagle się ukazała. Któżby to inny mógł być, jak śmiały i odważny kapitan Henryk?

W samej rzeczy był to Henryk.

— Doskonale! wybornie! — mówił do siebie traper — podoba mi się twoje postępowanie. Przypomina mi ono moje młodzieńcze lata!... Jak kunsztownie wyrosłeś ze ziemi, aby, gdyby przypadkiem kto w tę stronę patrzał, nie miał podejrzenia!. Dobrze, dobrze! Niepowinieneś nagle iść naprzód, trzeba ci się wprzódy rozpatrzeć....

Tu zamilkł, widział bowiem, że Henryk ruszył naprzód wolnym krokiem.

— A owóż wprost idzie na szałas — mruczał nieukontentowany — zdaje mi się, że to za śmiało! Doprawdy, obchodzi półkolem pierwsze ognisko... Niech go Bóg ma w swej opiece!... To śmiały i dzielny młodzieniec, niby jaki traper! Ma on też dostać mą córkę, skoro ją uwolni, a Amalunga kochać będzie swego wybawiciela.

Tak mówił czas niejaki traper sam do siebie. Pozostawmy go na wzgórzu, śledzącego kroki Henryka, a my udajmy się sami do obozu Komanszów.

VII.

Gdy Henryk wszedł do obozu indyańskiego, ominął blask pierwszego ogniska, i śmiało szedł dalej prosto na największy szałas, przy którym także wielkie gorzało ognisko. Zaledwie zrobił około pięćdziesiąt kroków, gdy kilku Indyan zastąpiło mu drogę. Widocznie ludzie ci pili wiele gorzałki i głowy mieli nie próżne. Henryk oczywiście nie mało się zakłopotał.

Niedługo jednakże pozostawał w zakłopotaniu. Wiedząc, że tylko przytomnością umysłu zamiaru swego dopnie, poszedł śmiało naprzód. Napili Komansze ustąpili na stronę, spodziewając się widocznie nagany za swe postąpienie.

Na szczęście zauważył to Henryk natychmiast i przystanął, podczas gdy taczający się Indyanie chcieli go ominąć. Jeden z nich sądził, iż wypada mu się usprawiedliwić.

— "Biały Wilk" dał mu wody ogniowej — rzekł — niech się naczelnik na swych wojowników nie gniewa. "Białodrzew" jest wielki wojownik, a on tylko "Biały Wilk". Komansze trzymając z Białodrzewiem, chociaż im daje czerwonego mleka.*)

Henryk skinął ręką dumnie, nie odpowiadając wcale, a. Komansze radzi, że im pijaństwo uszło na sucho, oddalili się czemprędzej do swych ognisk.

— Dziwna – rzekł sam do siebie — wiem teraz, że moja rola, którą odgrywam, jest bardzo wdzięczna. Biały Wilk jest bezwątpienia ów odstępca, a ja jestem Białodrzewiem, o których to dwóch, jako konkurentach swoich, Amalunga pisała.

Z temi słowy poszedł dalej swą drogą. Ostrożnie, a jednak śmiało zbliżył się do szałasu. Za szałasem ujrzał ku wielkiej swej radości zarośle, w którem aż do szałasu, kiedy mu działać wypadnie, wygodnie się ukryć może. Nikt, kto go tu zobaczy leżącego, na żadne podejrzenie nie wpadnie, bo Indyanie kładą się na spoczynek, gdziekolwiek im się tylko podoba.

Nie namyślając się długo, rozciągnął się na ziemi, jakoby chciał spać. Tymczasem wcale on nie spał, tylko czujnie uważał, co się dzieje na około niego. Tu ztąd mógł wzrokiem objąć cały obóz, a mianowicie mieć na oku wielkie ognisko przy największym szałasie. Miejsce, na którem leżał ukryty, było ledwie pięćdziesiąt kroków oddalone od szałasu, w którem, jak sądził, znajduje się Amalunga. Około tego szałasu spoczywało do trzydziestu Indyan, jedni leżąc, drudzy siedząc; jedni w milczeniu palili fajki, drudzy rozpędzali nudy żywą rozmową.

Zaledwie Henryk dobrze się na swem miejscu ułożył, gdy nagle w tak cichym dotąd obozie powstał ruch zadziwiający. Stary naczelnik wyszedł ze szałasu i zwrócił

*) Czerwonem mlekiem nazywają Indyanie rum.

się do koczujących przy ognisku wojowników, z których niektórzy się zerwali i rozbiegli w rozmaitych kierunkach.

Po kilku chwilach poczęli się zbiegać Indyanie ze wszech stron, i długo nie trwało, a już ich było około stu przy ognisku.

Widocznie miała nastąpić narada we ważnej sprawie.

Kiedy wszyscy wojownicy posiadali w koło ogniska, wystąpił stary naczelnik. Długie jego jak śnieg białe włosy, wisiały mu wkoło oblicza, co owemu bronzowemu obliczu nadało dziwny, charakterystyczny wyraz. Na tyle głowy miał je tylko związane, i na znak godności naczelnika, ozdobione orlemi pióry.

— Komansze! — zaczął mówić naczelnik — słuchajcie słów waszego najstarszego wojownika. Tlaskala żył już tak długo, że ośmdziesiąt zim zawiało z gór Skalistych, a chociaż nogi jego siłę traciły, duch jego jest zawsze jeszcze czerstwy.

Szmer potwierdzenia słów jego przebiegł kołem pomiędzy zgromadzonymi.

Naczelnik mówił dalej:

— Tlaskala nie ma dzieci. Tlaskala miał córkę, ale bladolicy skradł jej serce i przeciągnął ją do bladolicych. Manitu*) może wie czy on jeszcze żyje, czy nie, więc oczy Tlaskali padły na syna jego brata, najwaleczniejszego pomiędzy młodzieńcami Komanszów. Białodrzew jest odemnie naznaczonym na naczelnika.

I znowu rozległ się szmer zadowolenia. Tlaskala ciągnął dalej:

— Białodrzew wykonał dzielną wyprawę, ręce moich młodych wojowników są pełne, a stary naczelnik cieszy się, że ma tak dobrego następcę. Ale i Biały Wilk, którego szczep nasz przyjął za swego, też wielce przyłożył się do tego, że mój lud tak jest w zdobycz bogatym. Niech Biały Wilk wyjdzie i poda rękę staremu naczelnikowi.

Z pomiędzy szeregów wystąpiła jakaś postać. Był to odstępca, Europejczyk, jak się zdawało, którego Komansze nazywali "Białym Wilkiem". Henrykowi zdawało się, że tego człowieka gdzieś widział.

Biały Wilk w bardzo uniżony sposób podał Tlaskali rękę, co, jak się zdawało wielce go ucieszyło.

— Biały Wilk — zaczął znowu Tlaskala — ów niegdyś bladolicy, ma czerwone serce; kocha on Komanszów, jak swych braci. Biały Wilk pokazuje Komanszom, gdzie mogą najlepiej rabować i łupić, a od kiedy towarzyszy Komanszom, wojownicy są bogaci.

Temi słowami trafił Tlaskala Komanszom do serca, bo poczęli z uśmiechem zadowolnenia kiwać głowami.

— Mój brat niech mówi — rzekł Tlaskala, zwracając się do Białego Wilka.

Natychmiast nastąpiła cisza, jakby makiem zasiał. Każdy był ciekawy, co on też powie. Biały Wilk spojrzał tryumfującem okiem naokoło, a wtedy począł mówić. Lecz zaledwie tylko kilka słów wymówił, gdy Henryk o mało nie byłby się zdradził okrzykiem zadziwienia.

— Toś to ty, nędzniku! — mruknął sam do siebie — biada ci, morderco! Białodrzew znajdzie we mnie mściciela!... Don Pedro jesteś, a nie Biały Wilk!...

Tymczasem Biały Wilk, czyli znany nam Don Pedro, zaczął mówić:

— Przyjaciele, dzielny Tlaskala mówił prawdę, jego język nie jest rozdwojony, jak węża grzechotnika. Biały Wilk napełnił ręce swoich nowych braci, któż śmie temu zaprzeczyć? Czasem tylko chodzi jeszcze do bladolicych, ale serce jego znajduje się zawsze u Komanszów. Przyjaciele jego wiedzą, że sam się nigdy nie bogacił, pomimo że zbogacił innych. Przyjaciele wiedzą, że naczelnicy mu powiedzieli, aby sobie wybrał, co jest z łupu najlepszego. Biały Wilk nigdy tego nie uczynił. Dziś jednakże myśli inaczej. Moi przyjaciele i bracia wzięli w niewolę dziewczynę. Biały Wilk nie ma żony, niechże mu tedy dadzą Córę puszcz.

Z powierzchowności zgromadzonych poznać było można, że wszyscy na to przystają. Odszczepieniec z ukontentowaniem spojrzał więc wokoło i widząc, że nie ma nikogo, ktoby mu dziewczęcia zawiścił, zwrócił się z tryumfującą miną do Tlaskali.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Manitu znaczy Bóg.

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

(Ciąg dalszy.)

Spieszył, aby jak najprędzej dostać się do niego. Miał jednak, kroków zaledwie już kilka przed pałacem zatrzymać się nagłe przy gęstym krzaku pizanów. Usłyszał bowiem świst przelatującego tuż przed obliczem swojem jakiegoś wąskiego, ciemnego przedmiotu. Przedmiot ten zawisł na pniu palmy, którą mógł ręką dosięgnąć z miejsca, gdzie się zatrzymał. Bez wachania więc postąpił krok i wyciągnął z miękkiej kory palmowej strzałe z przyprawionemi pióry. Lotem błyskawicy przyskoczył do gęstego krzaku pizanów. Nie dostrzegł już jednak nikogo, szelest tylko rozsuwanych przed chwilą, a obecnie łączących się gałęzi, kazał dorozumiewać się, że w tem zaroślu jakaś istota żyjąca dyszała na czyjąć zgubę. Chwilkę wachał się, czy iść za nią i wyśledzić, czy też nie, poczem potrząsłszy swoimi, ładnymi lokami zawrócił do pałacu, szepcąc: "Stara Giga zna, jak się zdaje, dobrze swoich: w przyszłości więc należy więcej baczyć na zatrute strzały białych."

W przedsionku spostrzegł Emeryk małą psinę, zadrasnął ją lekko ową strzałą, a za chwilę psina poczęła się kurczyć, zawyła kilka razy, i wyciągła się nieżywa.

"A więc w rzeczy samej strzała była zatrutą" rzekł cichem głosem sam do siebie.

Połamał następnie tę broń straszną w kawałki, wygrzebał jamkę, włożył w nią nieżywą psinę i kawałki strzały i zapysał starannie ziemią.

"Tak, a teraz winniśmy czekać jak najcierpliwiej, a przekonany się, co się tu jeszcze dziać będzie," mówił. "Przedewszystkiem wuj nie powinien nic wiedzieć o mojej dzisiejszej przygodzie. Nie za samo uderzenie i tych słów kilka, któremi go wyłajałem, godził on tu dzisiaj na moje życie. Po za tem, niechybnie coś więcej ukrywać się musi; pomału tylko, powoli, a z pomocą Boga, który mnie dzisiaj obronił od tej okropnej śmierci, zedrę z czasem i ową zasłonę, pokrywającą tę tajemnicę. Cierpliwości tylko, przedewszystkiem zaś milczeć należy, i nie zdradzić się jakiem niepotrzebnem słówkiem, poczem zanuciwszy miluchną piosenkę ojczystą pobiegł co prędzej do wuja. Wuj przywitał go wyrzutami, za tak długie wydalenie się. Nie długo jednak trwały te wyrzuty, Emeryk bowiem tłumacząc się i przepraszając wnet potrafił udobruchać pana Wanderstraten, a udobruchawszy go, począł mu opowiadać o matce, rodzeństwie, o kraju rodzinnym. Pan Wanderstraten słuchał pilnie tych opowiadań do samej północy. Dosyć więc długo trwały te opowiadania, bo już po północy rozeszli się na spoczynek, mimo to jednak Emeryk ani słówkiem nie napomknął wujowi o dzisiejszej swojej przygodzie, dotrzymał danego sobie słowa, nie zdradził się.

IV.

Maszynerya.

Zaledwie pierwsze promienie słoneczne ozłociły wierzchołki lasów na niedalekiej

górze, a już pan Wanderstraten zapukał do sypialny siostrzeńca i zawezwał go głosem donośnim, aby co prędzej ubrał się; ma bowiem zamiar wyjść z nim na przechadzkę i pokazać mu swoje plantacye. I nie długo czekał pan Wanderstraten na Emeryka, kilka bowiem minut później stał już siostrzeniec ubrany, gotów do przechadzki, obok wuja. Wyszli do ogrodu, z ogrodu zaś przeszli do pobliskich, bujnych plantacyj. Mimo tak wczesnej godziny, setki rąk już tu pracowały, a gdziekolwiek Emeryk spojrzał, wszędzie spotykał lśniące, czarne oczy, które spoglądały na niego z przywiązaniem i wdzięcznością. Ładny młodzieniec uprzejmem skinieniem głowy pozdrawiał jednych, przy innych zatrzymywał się i przemawiał słów kilka, niezważając wcale, że pan Wanderstraten od czasu do czasu napominał go, mrucząc głosem zaledwie dosłyszanym: "niepospolituj się tak z tymi czarnymi hultajami."

"Wszakże oni tak dobrze są ludźmi, jak ja i ty kochany Wuju" odpowiedział z uśmiechem Emeryk "przekonujesz się, jak miłą jest im moja uprzejmość."

Idąc dalej spotkali dozorcę Mikołaja, który widocznie pobladł zaraz w chwili, jak tylko ostry wzrok Emeryk na nim spoczął.

Nie mając zamiaru zagadnąć go, niezatrzymali się, w chwili jednak kiedy już mieli mimo niego przechodzić, dozorca pokonawszy obawę, a śmiejąc się, złośliwie zastąpił im drogę i zapytał pana Wanderstraten od kiedy też sądownictwo w plantancyi należy do młodego pana? Pytanie to zadziwiło niemało pana Wanderstraten, poczem opowiedział mu Mikołaj w jaki sposób wczoraj wieczorem w wykonywaniu swego urzędowania przeszkodzony został. Obojętnie, uśmiechając się słuchał Emeryk całego tego oskarzenia i począł dopiero wówczas bronić się, kiedy wuj całkiem poważnie zapytał czy skarga dozorcy opartą jest na prawdzie?

"Tak jest, w istocie!" odpowiedział Emeryk, "żałuję tylko, żem tego okrutnego niecnotę jeszcze porządniej nieochłostał. On zapomina, że katował tego biednego Herkulesa, który i tak już strasznie cierpiał, strzaskawszy rękę w twojej fabryce." Zwracając się zaś do dozorcy i spoglądając nań groźnie, rzekł Emeryk "podziękuj Bogu, żem zamilczał o znanej ci, a hańbiącej cię w wysokim stopniu sprawce. Jeżeli odezwiesz się jednem jeszcze słówkiem, opowiem wujowi sprawki, które nader złe następstwa spowodują. Precz nędzniku, a strzeż się raz jeszcze podobnie okrutnie postąpić, jak wczoraj. Ja tu jestem, i dla tego czuwać będę nad wszystkiem.

Dozorca zadrżał obaczywszy groźny wzrok młodzieńca i słysząc te słowa, poszedł swoją drogą. Pan Wanderstraten zaś rzekł: "siostrzeńcze nie psuj sobie sprawy z dozorcą! Gdyby on tu niebył i gdyby nie jego harap, ani chwili niebylibyśmy pewni naszego życia. Nieprzeczę, uczynił źle, niepotrzebnie katował wczoraj Herkulesa mógł zaczekać, aż zupełnie wyzdrowieje, a i ty siostrzeńcze, niemiałeś najmniejszego powodu mieszać się do tej sprawy, wszak ona ciebie niedotyczy. Ja pokochałem cię chłopcze gdy podobałeś mi się, a nadto jesteś synem mojej siostry, uważaj więc, abyś tej miłości niepostradał, nigdy zaś nie zezwolę na tego rodzaju żarty z moim wiernym Mikołajem."

"Dziękuję za tę miłość panie wuju, jeżeli mam ją pozyskać nikczemnością!" wybuchnął Emeryk uniesiony gniewem sprawiedliwym. "Wolę raczej natychmiast wrócić do Europy, jak z zimną krwią patrzeć na okrucieństwa. które mnie oburzają, i na widok których serce kraje się." Po takiej odpowiedzi zaledwie zapanował nad sobą pan Wanderstraten i już się godził z myślą odesłać Emeryka z powrotem tam, skąd przybył, gdy spojrzał jednak na to ładne, szlachetnością pałające oblicze młodzieńca i na te niebieskie błyszczące oczy, które mu tak żywo drogą siostrę przypominały, ochłonął prędko z gniewu i złości i nad spodziewanie łagodnie, przemówił: "No, no, tylko nie tak gorąco chłopcze! wyczeczekaj, a po upływie jakiegoś czasu będziesz sam inaczej sądził. Za jakąś tam nierozsądną czynność nieodjedzie mój siostrzeniec za morze. Chodź dalej Emeryku."

Udobruchany tem przemówieniem młodzieniec, szedł dalej z wujem, dopóki tenże

niezatrzymał się na obszernym placu, gdzie w szałasach, lub pod dachami li w tym celu zbudowanymi porzuconych leżało mnóstwo wyrobów z żelaza, ogromne walce, zębate koła, śruby, sztaby i t. d. i t. d.

"Ten plac, jak go widzisz mój chłopcze drogo mnie kosztuje!" mówił z gorzkim uśmiechem pan Wanderstraten, wzdychając. "Tutaj pogrzebałem wiele tysięcy dukatów holenderskich, zmarnowałem te tysiące, wyrzuciłem na nic. Patrz ten oto stos, przed niedawnem dopiero z Europy sprowadzony, którego transport sam bardzo wiele kosztował, najwięej przedziurawił moją skrzynię pieniężną!"

"Czy maszyny te są niezupełne, czy też połamane?" zapytał Emeryk i począł oglądać ciekawie i z uwagą owe mnóstwo żelaza.

"Nie chłopcze, owszem wszystko jest całe i dobre, tylko że nikt nie potrafi te cudackie koła i sztaby złożyć," odpowiepan Wanderstaten i prawił dalej zgorszony: "Spuściłem się na opisy, zawierzyłem zalecaniom tych hultajów waszych fabrykantów, sądziłem, że maszyny przysporzą mi zysków, i dla tego je zamówiłem i zapisałem. Cały okręt zapełniono niemi. Dopiero, gdy je przywieziono, przekonaliśmy się, jacy to my głubcy — próbowaliśmy, i próbowali, lecz nadaremnie, mimo że niemało zadawaliśmy sobie pracy i fatygi. Sąsiedzi wydrwili mnie i te bezpożyteczne nowości, a tak nie tylko że straciłem tyle tysięcy dukatów, lecz nadto naśmiewano się ze mnie i szydzono. Niech] kaduk porwie tę całą sprawę!"

"Tylko, czy niezawcześnie naśmiewano się, bo najlepiej powiadają, wychodzi ten, któremu dane jest śmiać się na samym końcu," odpowiedział Emeryk, uważniej jeszcze oglądając składowe części maszyn. "Tak, tak mój wuju, tak zwykli byli mawiać nasi ojcowie. To jak mi się zdaje, jakiś rzezak, — to części składowe maszyny do cukrowarni, każą się tego domyślać te ogromne żelazne walce — to maszyna parowa o sile dwudziestu koni — no wuju i cóż mi dasz, jak wynagrodzisz, jeśli to wszystko uporządkuję i poskładam?

"Młodzieńcze, jakżeś dziecinny!" zawołał pan Wanderstraten śmiejąc się i gniewając na przemian. Jaki z ciebie zarozumialec! Przyjechałeś, sądząc, że nam będziesz bąki puszczał? Dajże spokój i pozostaw te cudackie sprzęty. Mam nadzieję, że rdza je w niedługim już czasie pożre, a wówczas przynajmniej nie będę potrzebował dłużej na nie patrzyć!"

"Wuju! ja wcale nieżartuję" odparł Emeryk poważnie. "Raz jeszcze pytam cię, jak mnie wynagrodzisz, jeżeli z pomocą jakiego tuzina niewolników, zanim dni czternaście upłynie, poskładam i poustawiam te wszystkie maszyny? Rozumię się troszkę na tych rzeczach."

"Młodzieńcze!" zawołał pan Wanderstraten "jeżeli tego dokonasz, zaprawdę powiadam ci, dam połowę zysku, jaki przyniosą!"

"Nie wuju, tak wiele nie wymagam za tę malutką usługę, odpowiedział Emeryk śmiejąc się." Proszę tylko o jedno: daruj mi tego biednego Herkulesa, którego ten niegodziwiec, dozorca tak okropnie wczoraj katował!"

"Będziesz go mieć, a nadto tuzin jeszcze innych czarnych!" wołał pan Wanderstraten uradowany. "Siostrzeńcze, skoro tylko tego dokonasz, obaczysz, jak wuj twój zwykł się wywdzięczać. Kiedy rozpoczynasz ustawianie i składanie?"

"Zaraz jutro raniutko!" odpowiedział Emeryk. "Dzisiaj oznaczymy miejsca, na których maszyny zostaną ustawione, i wybierzemy ludzi, którzy mają pomagać. Potrzebuję samych tylko silnych, tęgich mężczyzn."

"Bierz, jakich chcesz i ile chcesz, masz wszystkich dowyboru," mówił pan Wanderstraten. "Bierz ile tylko zechcesz, a gdyby udała się ta trudna sprawa, zaprawdę w takim razie przyjazd twój zaledwie złotem dałby się zapłacić. Tylko, czy ty mnie nie zwodzisz, chłopcze? w razie takim gniewałbym się bardzo!"

"Ależ nie troszcz się wuju, jeżeli tylko szyny są zupełne, jeżeli niczego nie brakuje, oczem jednak teraz, kiedy wszystko pomieszane leży, wyrokować nie mogę, ręczę za skutek. Tylko nie przeszkadzaj mi w niczem i trzymaj się w oddali nie troszcząc

się o nic dopóty, dopóki sam nie przyjdę i nie powiem: "Wszystko w porządku szanowny wuju Wanderstraten!"

Ten warunek nie przypadł do gustu wujowi; niedowierzał widocznie, aby siostrzeniec był na tyle zręcznym i zdatnym, z boku więc spoglądał na niego niezdecydowany. Poczciwy jednak wyraz twarzy i ta pewność przy odgadywaniu znaczenia pojedynczych składowych części maszyn, zniewoliły go w końcu całe wykonanie powierzyć siostrzeńcowi.

"Czyń, co zamierzyłeś i potrafisz" wyrzekł "a za dni czternaście pomówimy znowu."

Nie odwlekając zabrał się Emeryk do pracy. Na rozkaz wuju kilka tuzinów najsilniejszych i najbardziej zwinnych niewolników oddano Emerykowi na usługi i już dniami całymi nie widywał pan Wanderstraten swojego siostrzeńca, z wyjątkiem chyba króciuchno w porze objadowej. Natomiast wiele bardzo słyszał o nim. Od świtu do późnej nocy rozlegały się w powietrzu stuk, huk, bicie młotami, wołania robotników i rozkazy kierującego robotami; z kominów kurzyło się ustawicznie, tak samo zarzyło się w kuźniach, wszystko więc świadczyło o najpilniejszej czynności. Na twarzy Emeryka malowało się zadowolenie, wuj uśmiechał się i rozciekawiał z każdym dniem więcej, a tylko dozorca Mikołaj chodził schmurzony i jak się zdawało, nie cieszył się powodzeniem Emeryka.

Nie upłynęło jeszcze dni czternaście, kiedy jednego wieczora Emeryk podał wujowi ramię i poprowadził go tam, gdzie właśnie maszyny ustawiano. W kotłach parowych gotowało się, ogromne koła obracały się z wielką szybkością, nie sprawiając niezwykłego hałasu, jedno chwytało drugie, a wszystko świadczyło, że Emeryk nie przyrzekł za wiele, podejmując się ustawienia maszyn. Pan Wanderstraten zachwycony podziwiał tak prędko ukończoną robotę. Maszyna parowa poruszała się z ciągłą regularnością, walce z cukrowarni ścierały na proch trzcinę, jakby źdźbła słomy, a pojedyńczy i trafnie, obmyślony przyrząd chronił ręce tych niewolników, którzy pomiędzy walce wsuwali trzcinę, od strzaskania, wskutek czego biedny Herkules i inni tyle już wycierpieli. Lecz co najgłówniejsze, maszyny wykonywały to wszystko, czego pan Wanderstraten miał prawo spodziewać się po nich, zawierzając zachwalaniom fabrykantów; uszczęśliwiony więc tem wszystkiem uściskał siostrzeńca wołając: "Zaprawdę chłopcze, twoja zręczność zastąpi pracę przynajmniej pięćdziesięciu niewolników, którzy nigdy niepotrafiliby tyle i tak zrobić, jak te żelazne potwory! Ale powiedzże, czem zdołałeś w tak krótkim czasie to wszystko uskutecznić?

"Czemś zupełnie zwykłem, a mianowicie zastanawianiem się, kochany wuju!" odpowiedział Emeryk. "Znam główne zasady mechaniki, zapoznałem się z niemi w Europie w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych, i tak z pomocą tych dzielnych ludzi ustawiłem wszystko i ukończyłem. Zręczni i ochotni, bardzo dobrze więc zrobiłbyś wuju, gdybyś przeznaczył ich do maszyn. Ponieważ pomagali przy ustawianiu, poznali więc skład maszyn, ja zaś pragnę, jeżeli na to zezwolisz dozorować wszystkiego dopóty, dopóki zdolnego kierownika niepozyskasz."

"Na co kierownika! "zawołał pan Wanderstraten. Przekonałem się, żeś tęgi chłopiec, nie zawiódł się stary wuj, przyobiecując sobie, dzielną pomoc znaleźć w siostrzeńcu. A wam czarnym hultajom zawołał, zwracając się do otaczających ich z uszanowaniem głębokiem niewolników, wam pozwalam cały dzień jutrzejszy cieszyć się, tańczyć, śpiewać, bawić się. Idźcie i donieście o tem innym niewolnikom!"

Na te słowa powykrzywiały się twarze czarnych niewolników, powyszczerzali zęby, poczęli chechotać się, co wszystko wielką radość oznaczało i rozbiegli sie na wszystkie strony Wuj Wanderstraten zaś uścisnął raz jeszcze swego siostrzeńca i rzekł:

"Pozyskałeś całe moje zaufanie chłopcze, uważam cię za prawą rękę, a niewolnicy i dozorcy mają spełniać odtąd rozkazy twoje tak samo, jak spełniają moje."

Emeryk nic nie odpowiedział na te słowa, na twarzy tylko malowało się zadowolenie, a w duchu ślubował uzyskaną władzę zużytkować na korzyść tych biednych niewolników, których ciężkie życie

pod harapem nielitościwych dozorców wzbudziło w nim litość od pierwszej zaraz chwili.

V.

Dozorca.

W tym samym czasie w którym Emeryk ustawił maszyny, Herkules wyleczył się z ran. Pewnego dnia, rzucił się do nóg siostrzańca pana Wanderstraten młody murzyn. W murzynie tym Emeryk natychmiast poznał Herkulesa, więc uprzejmie go powitał, a przypomniawszy sobie, że wuj darował mu tego niewolnika, niezaniedbał go o tem zawiadomić.

"Powstań Herkulesie!" mówił: "Nie jesteś już więcej niewolnikiem, wolnym jesteś człowiekiem a jako taki winieneś klękać tylko przed Bogiem nie zaś przed równymi sobie. Wuj mój darował mi ciebie: a ja ci wolność darowuje i robię cię wolnym."

Zdziwienie i radość, powątpiewanie i zachwyt malowały się na przemiany na twarzy murzyna, gdy usłyszał te słowa, które wydały mu się jakby poselstwem z samego nieba. Emeryk musiał więc raz jeszcze je powtórzyć i dopiero wówczas uwierzył Herkules, poczem począł radośnie wyprostował się, promieniejącym wzrokiem spojrzał w niebo i zawołał głosem, który nie podobna opisać: "Herkules wolny, Herkules wolnym człowiekiem, Herkules nie nie potrzebuje więcej obawiać się harapa i dozorcy!"

Następnie spojrzał znowu na Emeryka, który przypatrywał się z boku uśmiechając się i po raz drugi rzucił się do nóg jego. "Herkulesie, tak być nie może, odpowiedział Emeryk. "Chcę, abyś ujrzał tej wolności, a niezostawał ponownie niewolnikiem Dobry wuj mój daruje ci kawałek gruntu, tam zbudujesz chatę, i będziesz żył jak na wolnego przystało!"

Herkules potrząsł głową. "Nie pójdę od Massy Emeryka!" mówił spokojnie i z silnem postanowieniem. "Giga odpowiadała, że niebezpieczeństwo grozi młodemu Massie. Herkules będzie go strzedz, chronić albo umrze sam. Herkules nigdy nie opuści dobrego Massy!"

"Dziecko z ciebie Herkulesie!" odpowiedział Emeryk, śmiejąc się. "Skoro jednak koniecznie już chcesz przy mnie postać, dobrze, pozostań, lecz pozostań jako przyjaciel, nie zaś jako sługa. Masz dobre szlachetne serce godnyś więc mojej życzliwości, mojego przywiązania. Chodź Herkulesie, niech cię uściskam, bo u nóg moich niechcę cię już więcej widzieć."

Herkules ociągał się, mimo że w oczach jego malowały się zachwyt i głębokie wzruszenie. Emeryk więc sam pochwycił go w swoje ramiona i przycisnął do piersi. Tak samo odwzajemnił się Herkules Emerykowi, tylko że bardzo nieśmiało, poczem cofnął się krok wstecz i drżącym od wzruszenia głosem począł mówić: "Herkules przyjacielem Massy. Biada temu, któryby odważył dotknąć głowy Massy. Bez względu czyby to był biały, czy czarny. Nikomu nie wolno wyrządzić przykrości Massie, kocham Massę!"

Po tych zaraz słowach odszedł Herkules i skrył się w pobliskiej gęstwinie. Emeryk niewiedząc coby to miało znaczyć pozostał na miejscu. Zdawało się, że szybkie to oddalenie się i ukrycie nie może być bez znaczenia, gdy w tem kiedy Emeryk zastanawiał się coby to miało znaczyć posłyszał dźwięk wojskowych instrumentów, który w tej chwili rozległ się w niewielkiej oddali. Nie namyślając się, szybkim podążył krokiem tam, skąd dźwięk ten zdawał się dolatywać i z niemałem zdziwieniem obaczył, jak batalion zbrojnych, holenderskich żołnierzy szykował się przed pałacem wuja. Pan Wanderstraten sam wyszedł na spotkanie porucznika, który już spieszył do pałacu z depeszami, powitał go z całą uprzejmością, a następnie rozkazał żołnierzom zfatygowanym długim marszem i osłabionym skwarem słonecznym podać natychmiast posiłek. Pojawił się niezwłocznie i dozorca Mikołaj, a Emeryk, który mu nic nie dowierzał od owej jeszcze chwili, kiedy to chciał go zgładzić strzałą zatrutą, zauważył, że Mikołaj, coś zanadto poufali się z zaledwie przybyłem wojskiem. Postąpił więc kilka kroków naprzód, i usłyszał jak Mikołaj prawił: "tak, tak chłopcy, my dzisiaj obawiamy się bardziej naszych własnych niewolników, jak nieprzyjaciela z lasu, któ-

ry w ostatnich czasach zachowywał się bardzo spokojnie, jak to opowiadali ci, którzy odwiedzają kryjówki nieprzyjacielskie w lesie. Bo tu, do nas przyjechał teraz z Europy chłystek, który głupiem swojem obejściem tak rozzuchwala tych czarnych hultajów, że w nie długim już czasie drwić z nas poczną, miasto wypełniać rozkazy nasze. Zresztą przekonacie się sami o tem, skoro tylko dłużej tutaj zabawicie!"

W tej chwili podszedł Emeryk i poklepał dozorcę lekko po ramieniu. Dozorca odwrócił się więc coprędzej, ale zarazem pobladł i przeraził się, obaczywszy przed sobą młodego pana, którego kilka chwil przedtem przed dopiero co przybyłymi tak obelżywie obgadywał.

"Strzeż się swego języka Mikołaju, i trzymaj go na wodzy panie dozorco!" mówił Emeryk zimno i poważnie. "Dzisiaj przebaczam ci twoją bezczelność, drugi jednak raz może taka bezczelna gadanina pociągnąć za sobą nader przykre dla ciebie skutki."

Dozorca wyśliznął się coprędzej, Emeryk zaś począł rozmawiać z przybyłymi żołnierzami. Rozmowa nie trwała długo, lecz i z tej krótkiej przekonali się przybysze, że chytry dozorca nie w takiem świetle powinien był przedstawić Emeryka.

Powynoszono stoły do ogrodu, zastawiono, i żołnierze zasiedli, aby się posilić, pan Wanderstraten zaś, porucznik i Emeryk poszli do najchłodniejszej komnaty pałacowej i tam rozmawiali o dzikim nieprzyjacielu z lasów i niebezpieczeństwach jakie grożą plantacyom, skoro tyko ten nieprzyjaciel opuści swoje kryjówki. Emeryk wspomniał, co dozorca o obecnem zachowaniu się tego nieprzyjaciela przybyłemu wojsku opowiadał, a pan Wanderstraten zgadzając się z dozorcą dodał: "W istocie, w obecnej chwili nie ma obawy przed temi rozpustnemi hordami. Mikołaj sam zakradał się do lasów, szperał po wszystkich ich kryjówkach i nigdzie nie napotkał na coś takiego, coby wzniecała obawy, że już w krotce mają zamiar targnięcia się na nas. Mimo to, bardzoście dobrze zrobili panie poruczniku, żeście przybyli z waszymi żołnierzami, prawdopodobnie bowiem znajdą zajęcie tam, gdzieby się najmniej należało spodziewać. Dozorca mój wyśledził sprzysiężenie pomiędzy moimi czarnymi niewolnikami, co nocy prawie schadzają się potajemnie, widocznie dla narady, wprawdzie nie udało nam się dotychczas wyszukać ich kryjówki, ale dzban nosi tylko tak długo wodę, dopóki ucho nie przerwie się, mam więc nadzieję, że i tę kryjówkę odszukamy. Wówczas okrążymy ich, opaszemy, całą bandę zaaresztujemy, hersztów powywieszamy, innych zakujemy w kajdany i wrzucimy do lochów, niepodając innego pożywienia jak tylko chleb i wodę, a już potem niezawodnie na lat kilka stracą chęć do wszelkich sprzysiężeń i w plantacyi zawita spokój."

Emeryk potrząsł głową na te słowa i odpowiedział z namysłem: "Wuju nie potępiaj ich tak szybko i nie posądzaj. Ja przynajmniej nie odważyłbym się ufać temu obłudnemu Mikołajowi i dlatego nie wierzę i temu wszystkiemu, co opowiadał, dopóki własnemi oczyma o prawdziwości tego opowiadania nie przekonam się. Człowiek ten nie postępuje szczerze ani z murzynami, a już najmniej ze mną, a czego mam niezbyte dowody."

"Ty tego nierozumiesz, chłopcze!" odparł pan Wanderstraten. "Z maszynami potrafiłeś dać sobie radę i umiesz niemi kierować, ale przeniknąć wskroś podstęp czarnych, odkryć ich kryjówki do tego potrzeba chytrego lisa, a nie ciebie. Przekonałem się sam, że wiele bardzo dzieje się tutaj zupełnie inaczej, jakby należało i jakby dziać się powinno. Nocami schodzą się, a nad czem radzi to czarne pokolenie na takich schadzkach, tego i dziecko małe potrafi się domyślić. Za chytrość, podstęp odpłacimy taką samą monetą i podejdziemy ich ukradkiem, zanim przeczują."

"Wuju! Prosta droga, zawsze jest najlepszą," odpowiedział Emeryk. "Czemu więc nie zgromadzisz niewolników i nie zapytasz sam, co robią na tych schadzkach nocnych? Zapewnij ich tylko, że im przebaczysz, a nietylko dowiesz się o wszystkiem ale nadto pozyskasz jeszcze i serce ich."

Pan Wanderstraten zaśmiał się szyderczo. "Jakto zaraz widać" — odparł — "krótko jeszcze bardzo bawisz w tym kraju

mój siostrzeńcze. Dobrocią nie wskórasz nic z tem przeklętem plemieniem. Spróbuj sam, abyś już raz zmądrzał i mądrzej o nich zaczął sądzić."

Obrażony temi słowy, jaki były wypowiedziane, poskoczył Emeryk z krzesła i zawołał: "Dobrze posłucham waszej rady panie wuju, a przekonamy się, kto z nas miał słuszność czy wy z całą waszą surowością i dążącym do celu krzywemi drogami, czy też ja idący prostą drogą z dobrocią Bóg sam widać chce tego wuju!"

Po tej odpowiedzi chwycił za kapelusz ażeby wyjść do ogrodu, a otwierając drzwi potrącił Mikołaja, którego postawa cała i zmieszanie zdradzały widocznie, że podsłuchał całą rozmowę, jaką prowadzono w najchłodniejszej komnacie pałacu. Pogardliwym wzrokiem zmierzył go Emeryk, odsunął na bok i przeszedłszy mimo niego, wyszedł przez ogród do plantacyj. Znalazłszy się tutaj zapytał niezwłocznie o Herkulesa ale nikt go nie widział i nikt nie wiedział gdzie się znajduje, niezadowolony więc poszedł stąd znowu do swego mieszkania. Tu dopiero nad wszelkie spodziewanie zastał Herkulesa zajętego pilnie czyszczeniem strzelb i pistoletów, którymi pan Wanderstraten pomieszkanie Emeryka przystroił. Herkules powitał go szczerym uśmiechem, a wzrokiem wskazywał na poczyszczoną broń, jak gdyby chciał pytać, czy dobrze się spisał.

'Herkulesie, ty jak widzę jesteś bardzo przydatny" zagadnął Emeryk. "Umiesz ty jednak tak dobrze strzelać, jak czyścić broń?"

"Herkules strzelał lwy i lamparty, jeszcze jako dziecko w swym rodzinnym kraju" odpowiedział dumnie murzyn. "Strzałą zabijał dzikie bestye, a strzelba lepszą przecież jak strzała. Massa Wanderstraten używał Herkulesa do czyszczenia broni, zanim wzięto go do cukrowni. Herkules strzelał na jaguara, już w tym tutaj kraju na polowaniu. Herkules nabije, wypali i zabije!"

"Tak, więc`polowałeś już w tych lasach Herkulesie!" zawołał Emeryk uradowany. "Doskonale! od dawna bowiem pragnąłem zwiedzić te lasy, a więc wkrótce pójdziemy razem na polowanie."

"I strzelać będziemy jaguary, tapiry, kajmany, i ptaszki" wołał Herkules. "Massa, ja mam wielką do tego ochotę! A potem będziemy także łapać chytre, czołgające się kotÁ!"

"Kogo będziemy łapać?" zapytał Emeryk.

"Złośliwe koty z ukrytymi pazurami!' odpowiedział Herkules. "Massa wszystko to obaczy. Herkules pamięta kryjówki tych kotów. Matka Giga powie mu kiedy ma pójść, kiedy zajść, co robić. Nic im nie pomoże. Herkules ma na wszystko otwarte oczy."

Daremnie napierał Emeryk, ażeby Herkules rozwiązał tę zagadkę, którą tak tajemniczo oznajmiał, Herkules milczał długo, i po chwili dopiero rzekł: "Trza obaczyć własnemi oczyma, a wkrótce to nastąpi.' Po takiej odpowiedzi zaprzestał Emeryk napierać, lecz i zarazem przypomniał sobie, dlaczego to właśnie szukał za Herkulesem.

"Dobrze" odpowiedział "ja zaufam ci, a więc i zaczekam. Ale zaufajże i ty mnie Herkulesie. Wiem o tem, że bracia twoi schodzą się w nocy potajemnie, niewątpię, że i ty pomiędzy nimi znajdować się musisz. Opowiedz więc, co wy tam robibie na tych tajemniczych schadzkach?"

Zapytanie to zmięszało Herkulesa, długo też ociągał się z odpowiedzią.

"Biedni murzyni nie czynią nic złego" wyrzekł nareszcie.

"O tem jestem przekonany, i wierzę słowom twoim — odpowiedział Emeryk — mój wuj jednak sądzi o tych schadzkach nocnych jak najgorzej, z przywiązania więc do ciebie radbym mu prawdę powiedzieć."

"Herkulesowi nie wolno mówić" szeptał murzyn patrząc szczerze w oczy Emerykowi. "Massa Wanderstraten nie jest zły, ale dozorca bardzo zły człowiek i sączy truciznę w uszy Massy. Gdy dowie się, co biedni murzyni czynią, wtedy źle znimi. Dostaną harapy, kajdany, a może zabije ich Herkules musi milczeć."

"Ale mnie twojego przyjaciela nie będziesz się przecie obawiał?" zapytał Emeryk przyganiając. "Herkulesie czy ty sądzisz, że ja byłbym zdolny zdradzić ciebie i braci twoich? O nie ja chcę was bronić i raczej umrę, aniżeli dopuszczę, ażeby które-

mu z was spadł włos z głowy, jeżeli jesteście zupełnie niewinnymi Mnie przynajmniej, twojemu przyjacielowi możesz zaufać Herkulesie."

Murzyn staczał ze sobą wewnętrzną walkę. Chętnie, widocznem to było, byłby się zwierzył, bez wątpienia więc przysięga lub coś tego rodzaju krępowały usta jego. "Massa powinien wszystko wiedzieć! wyrzekł. Tylko nie teraz. Herkules najprzód zapyta, a potem przyjdzie i powie. Massa bardzo dobry, musi słyszeć i wiedzieć o wszystkiem, i widzieć wszystko sam."

Wybiegł coprędzej, a Emeryk godzinę prawie cierpliwie wyczekiwał jego powrotu. Nareszcie wrócił zadyszany, oblany potem, ale z rozpromienionem obliczem.

"Teraz Herkules może mówić! wołał już wchodząc — dobremu ojcu może wszystko powiedzieć i dostał pozwolenie, młodego Massę razem z sobą przyprowadzić, jeżeli przyrzeknie milczeć."

"To przyrzekam ci" — odpowiedział Emeryk, dał murzynowi słowo, a następnie podał mu rękę. Po tem zapewnieniu prosił go Herkules, aby gotów był o pół nocy do wyjścia, w tym bowiem czasie przyjdzie po niego i zabierze, ażeby się naocznie przekonał, że niewolnicy, podobnie jak nieżywili nigdy, tak i dzisiaj nieżywią żadnych złych zamiarow względem pana swego.

Poczem oddalił się Herkules, a Emeryk pozostał w pomieszkaniu, ażeby tu bezpiecznie wyczekiwać owej umówionej godziny. Zaledwie jednak zaczęło się ściemniać, posłał pan Wanderstraten służącego do Emeryka z zaproszeniem, chciał bowiem wieczór dzisiejszy w towarzystwie jego i porucznika przegawędzić. Emeryk uczynił zadość temu zaproszeniu bardzo chętnie, w drzwiach jednak wchodowych omal nie zawrócił, obaczył bowiem prócz porucznika także i dozorcę Mikołaja w towarzystwie wuja. Lecz wuj poznawszy jego zamiary, nie pozwolił mu już wydalić się, a tak mimo niechęci musiał również zająć miejsce przy stole.

Prawdopodobnie pan Wanderstaten z umysłu sprowadził siostrzeńca i dozorcę razem, ażeby obódwóch jeżeli już nie pogodzić, to przynajmniej zbliżyć do siebie.

Jeżeli w istocie pan Wanderstraten miał takie plany, w takim razie spełzły one na niczem. Emeryk bowiem nie lubiąc, ani umiejąc udawać nie mógł też być uprzejmym dla człowieka, który przed niedawnem (a w co Emeryk wierzył jak najmocniej) godził na jego życie, a dziś znowu grał rolę życzliwego, w obec wuja a potajemnie żywił w piersi swojej uczucie nienawiści i zemsty.

Nie inaczej więc jak tylko hardo i dumnie zachowywał się w obec dozorcy, ilekroć tenże zamierzył zbliżyć się, niezważając wcale, że pan Wanderstaten niechętnym patrzył okiem na takie postępowanie. Dozorca też widząc wszystkie swoje zabiegi bezskutecznymi, zaniechał je czynić nadal a natomiast począł opowiadać cały szereg historyjek o zdradach i złośliwych podstępach murzynów, którym z lubością przysłuchiwali się pan Wanderstaten i porucznik, a które w Emeryku budziły tylko wstręt i obrzydzenie. Kiedy dozorca skończył opowiadać pierwszą, Emeryk starał się bronić tych biednych, oczernionych niewolników, gdy jednak widział, że to nadaremnie, zamilkł i odtąd już siedział spokojnie zajęty myślami nie biorąc najmniejszego udziału w rozmowie.

Półgodzinę przed północą powstał i pożegnał towarzystwo. Chwilkę później wyśliznął się i Mikołaj a wyszedłszy do ogrodu wylazł na drzewo aby z pomiędzy gałęzi spokojnie i wygodnie zaglądać do mieszkania Emeryka. Młodzieniec zapalił lampę i usiadł na krześlo nierozbierając się.

"Niebawem musi nadejść" mruknął dozorca sam do siebie. "Nareszcie dzisiaj wyśledzę kryjówkę" mruczał po chwili dalej "a skoro tylko raz zrobię porządek z tymi czarnymi bultajami, przyjdzie na ciebie kolej ty hardy chłopcze. Tego uderzenia, ktore wymierzyłeś mi wobec wszystkich niewolników, niezapomni ci nigdy dozorca Mikołaj i nie spocznie prędzej, dopóki nie zemści się na tobie!"

Po upływie zaledwie kwadransa, posłyszał jakieś lekkie stąpanie, a przy blasku księżyca, który w tej chwili w całej pełni wyłonił się zpoza gór, poznał Mikołaj młodego murzyna, który szedł do pałacu,

ażeby zaprosić Emeryka do uczestniczenia w zebraniu. Ostrożnie idąc rozglądał się na wszystkie strony, mimo to jednak nie dostrzegł dozorcy, osłonionego gęstymi konarami, który bezpieczny w swojem ukryciu mruczał: "Tak, tak, wytrzeszczaj oczy ty czarny psie! raz jeden uszedłeś mi, drug jednak raz już ci się nie uda. O jakto to dobrze, że ja całą waszą rozmowę podsłuchałem, kiedyście wy najmniej tego spodziewali się, nieprzyjaciel czuwał za waszemi plecami."

Lekki wiaterek poruszał konarami drzew, szmer więc i szelest liści nie dozwolił Herkulesowi usłyszeć słów dozorcy, ani trzeszczenia gałęzi na których opierał się Mikołaj. Wyjął po chwili kamyczek i rzucił do mieszkania Emeryka, a gdy tenże niezwłocznie stanął w oknie, cichym głosem zawezwał go aby zeszedł, godzina bowiem oznaczona już się zbliżyła: Zaraz potem zagasło światło w pokoju, Emeryk lekko i zgrabnie przelazł przez okno i jednym skokiem znalazł się przy boku czarnego przyjaciela. Szybko, ostrożnie i jak najciszej stąpając, podążyli naprzód. Lecz zaledwie minęli niedaleki krzak pizanów, już Mikołaj zsunął się z drzewa i kryjąc po za różnymi krzakami posuwał się krok w krok za nimi, aby ich śledzić, widział więc niebawem, jak przeskoczyli ogrodzenie, które okalało cały pagórek i jak następnie weszli do jednej z najobszerniejszych chat murzynów. Czołgając się na czworakach, zbliżył się pomału i do samej chaty, długi czas szukał za szparą, przez którą mógłby zajrzeć co się wewnątrz dzieje, nieznalazłszy jednak choćby najmniejszej, przyłożył ucho do cienkiej, z bambusowych lasek splecionej ściany i wytężył słuch. Za chwilę usłyszał głuchy szmer, a następnie głosy ludzkie. Nie dłużej jak minut pięć podsłuchiwał, poczem zawrócił i poczołgał się znowu na czworakach ukrywając się jak najostrożniej w cieniu drzew okalających chaty niewolników. Tak dostał się do ogrodzenia, tu otworzył furtkę, i dopiero za furtką podniósł się i zaśmiał szyderczo.

"Mam więc was, pochwyciłem was!" zawołał. "Przypadek czasem większe oddaje usługi, jak przezorność i mądrość. Ktoby to był się spodziewał, że oni zgromadzają się we własnych chatach. Jam ich śledził po leśnych kryjówkach, a ci hultaje tu pod okiem naszem może dobrze naigrawali się z dozorcy w tej samej chwili, kiedy błądził po lasach. Powiadają, że najlepiej wychodzi ten, kto się przy samym dopiero końcu śmieje, doświadczę tego dzisiaj na sobie, skoro udało się już pochwycić chłystka wraz z całą zgrają. Zapłacisz mi dzisiaj chłystku naraz, za wszystkie straże, jakie po nocach odbywałem. Znam dobrze mojego pana Wanderstratena i dla tego pewny jestem, że cię pierwszym okrętem, jaki stąd popłynie do Europy, odeszle z powrotem:"

Tak rozmawiając sam ze sobą, zbliżył się Mikołaj do pałacu, a że drzwi były dotychczas nie zamknięte, wszedł więc do wnętrza, a stąd znowu do pokoju, w którym mimo spóźnionej pory siedział jeszcze pan Wanderstraten przy flaszce wina wraz z przybyłym porucznikiem i z prawdziwą przyjemnością opowiadał o rodzinnych stronach, o cudach Amsterdamu, w którym ujrzał światło dzienne i pierwsze lata szczęśliwego dzieciństwa przeżył.

Dozorca wejściem swojem przerwał opowiadanie pana Wanderstraten. Po pierwszych słowach dozorcy, porwał się pan Wanderstraten z krzesła, i strętwiały ze zdziwienia wzrokiem spoglądał to na porucznika to na dozorcę i po dłuższym dopiero czasie zapytał. "Ależ, czy to prawda Mikołaju?"

"Taka prawda jak to, że ja tu stoję" odpowiedział dozorca. "Tak mój panie, hultaje właśnie co zgromadzili się, potrzeba więc tylko, aby pan porucznik rozkazał żołnierzom, a za chwilę całe gniazdo zdrajców jest w naszem ręku."

"Zbudź mojego siostrzeńca Mikołaju" zawołał pan Wanderstraten. "A wy mój panie poruczniku nie zwlekajcie, lecz wydajcie co prędzej potrzebne rozkazy."

Porucznik pospieszył, aby coprędzej wojsko pobudzić i cichaczem przed domem zgromadzić, Mikołaj jednak nie ruszył się z miejsca, lecz ruszając ramionami i uśmiechając złośliwie odpowiedział "pan Emeryk był bardzo zmęczony, niechybnie więc wziąłby mi za złe, gdybym go teraz, kiedy zale-

dwie dopiero musiał zasnąć, obudził."

"Masz słaszność Mikołaju" odpowiedział pan Wanderstraten. Dajmy mu pokój, bo i tak byłby gotów ujmować się za nimi i bronić ich. Nie, nie, niebierzmy go, tem większą będzie to dla niego niespodzianką. Sądzę, że po tem wszystkiem zmądrzeje nareszcie i nie będzie dłużej ufał tym czarnym drabom!"

W kilku minutach zgromadzili się żołnierze przed pałacem, skąd z porucznikiem, panem Wanderstraten i Mikołajem na czele odeszli, aby otoczyć chatę, w której Mikołaj wyśledził zgromadzonych murzynów, a niebawem już ją tak opasali, że żadna żyjąca istota nie zdołałaby wymknąć się z niej, chyba na skrzydłach czarodziejskich, w tedyto z tryumfem zakupał do drzwi dozorca Mikołaj.

"Drzwi otwarte!" zawołał. "A więc nie ociągajcie się ani chwili, później bowiem może już chata stać w płomieniach."

"Czy doprawdy?" zapytał jakiś głos czysto brzmiący, z wnętrza chaty, w którym z niemałem zdziwieniem poznał pan Wanderstraten głos swojego siostrzeńca.

"Jeżeli ktoś szuka kogoś, niechaj w imię Boże wejdzie, prosimy, zabraniamy jednak podpalać."

Złe jakieś przeczucie owładnęło dozorcę po tej odpowiedzi. Potrącił więc coprędzej drzwi i wszedł do wnętrza chaty wraz z panem Wanderstraten i porucznikiem, lecz tu ku wielkiemu zdziwieniu niezastał nikogo więcej prócz Emeryka i Herkulesa, siedzących przy dużym drewnianym stole, i z spokojem spoglądających na wchodzących.

"Zdrada" wykrzyknął dozorca, zgrzytając ze złości zębami. "Całe gniazdo napełnione było przed niedawnem hultajami, a obecnie siedzi ich tylko dwóch."

Zaledwie jednak dokończył tych słów, gdy Emeryk oburzony porwał się z miejsca, przyskoczył do niego i silnie uderzywszy dłonią powalił go o ziemię. "Nędzniku" zawołał młodzieniec — jak mogłeś się odważyć znieważać siostrzeńca swojego pana, jak śmiałeś nazwać mnie hultajem? Wynoś się stąd coprędzej ty chytry, zdradziecki niecnoto, precz stąd ażeby słuszny gniew jeszcze bardziej mną nie zawładnął!"

Dozorca podniósł się ze ziemi, i spojrzał groźnie na Emeryka, odpowiedzieć jednak nieodważył się, i po chwili wysunął się z chaty. Wój Wanderstraten kiwał głową, jakby nie zgadzał się z tego rodzaju postępowaniem siostrzeńca, jakkolwiek obraza, jakiej dopuścił się dozorca, przekraczała wszelkie granice przyzwoitości. "Siostrzeńcze — mówił powoli — siostrzeńcze ty z tą twoją gorączką doprowadzisz tak daleko, że Mikołaj porzuci mnie i przeniesie się do jakiego innego plantatora. — A wówczas przekonasz się, jak to trudno o dobrego i wiernego dozorcę!"

"Wuju, byłobyto raczej zyskiem, dla ciebie aniżeli stratą, gdybyś w dobry sposób pozbył się Mikołaja z domu. Gdybym tego dokonać potrafił, natenczas powinienbyś mi tylko podziękować, bo dozorca jest lichym bardzo człowiekiem, zapewniam cię o tem kochany wuju!"

"Jest on ostry dla niewolników, może nawet więcej jak potrzeba, ale za to wierny swemu panu, a to więcej daleko znaczy, jakby ci się zdawać mogło, kochany siostrzeńcze. Jeżeli wskazał nam tę chatę, jako ognisko sprzysiężenia, musiał on przedtem o wszystkiem dobrze wywiedzieć się, musiał tu przedtem być i dobrze wszystkiemu przypatrzeć się, i dla tego rad byłbym bardzo, gdybyś swoją obecność tutaj, na tem miejscu, po północy kiedy my sądziliśmy, że dawno już spisz, chciał nam wytłómaczyć i usprawiedliwić."

"Tłómaczenie to — odpowiedział dumnie Emeryk — wydaje mi się kochany wuju zupełnie zbytecznem. Przyszedłem tutaj, ażeby być na zgromadzeniu, które w rzeczy samej odbyło się przed chwilą, nie w celach jednak sprzysiężenia, lecz z przyczyn zupełnie innych, a które wierzaj mi, na najmniejszą nie narażą cię stratę."

Gorączkowy rumieniec wystąpił po tych słowach na twarz pana Wanderstraten, i groźnie spojrzał na Emeryka. "Mam nadzieję, że przynajmniej przedemną nie będziesz robił tajemnicy z tego, coś tu słyszał i widział przed chwilą", rzekł z całą powagą

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UFNOŚĆ BEZ GRANIC.

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE W JEDNYM AKCIE.

— NAPISAŁ —

LEON KAPLIŃSKI.

(Dokończenie.)

(Podczas ostatnich słów Rodryga wychodzi ze swojego pokoju Roman całkiem zajęty zawiązywaniem krawaty).

Roman.

Otóż i tym razem węzeł się wcale nie udał, trzeba jeszcze raz próbować. (*Staje przed zwierciadłem wiszącem tuż obok drzwi z których wyszedł i widzi w lustrze klęczącego na ziemi Rodryga, który na gest Anny zrywa się i wychodzi*).

Roman, Anna.

(*Roman przybiega szybko do żony, chwyta ją silnie za rękę i puszcza, posem biegnie ku drzwiom jakby za Rodrygiem i od progu wraca*).

Roman.

Mam nadzieję, że mi dasz wytłumaczenie....

Anna.

Wytłumaczenie czego?

Roman *(tłumiąc wybuch najgwałtowniejszego gniewu.)*

Co znaczyła scena jaką tu w tej chwili widziałem (*chwyta żonę za rękę i silnie nią wstrząsa*). Co robił tu klęczący Rodryg?

Anna.

Mój Romanie, przed chwilą prawiłeś mi wiele o kolosalnej, nieograniczonej ufności we mnie — przed chwilą, zaklinałeś się, że nic nie zdoła zakłócić tego spokoju w jakim się na tak zwanych wielbicieli moich zapatrujesz, a teraz mówisz do mnie tonem i używasz gestów (*wyrywa mu rękę*) które ani ufność bez granic, ani delikatności nie dowodzą.

Roman *(z wzrastającym gniewem).*

O! nie żartuj i nie doprowadzaj mnie do ostateczności.... czy chcesz żebym się ludzi zapytał (*idzie ku drzwiom*).

Anna *(wstrzymuje go spojrzeniem i gestem).*

A nie, tego nie zrobisz, ale zapanujesz nad sobą chwilę i wysłuchasz mnie.... wszak ja tak cierpliwie słuchałam niedawno twoich historyjek ...

Roman.

Nie zagaduj mnie próżnemi słowy.... słuchać cię będę, skoro mi powiesz co tu robił Rodryg....

Anna *(stanowczo patrząc mężowi w oczy.)*

Ale ja proszę i żądam, abyś mnie pięć minut posłuchał, potem zrobisz ze mną co zechcesz. Racz przypomnieć sobie, że w dzisiejszej rozmowie naszej, otworzyłam ci całą moją duszę, że ci napomknęłam, choć mnie to kosztowało trochę, o pewnych obawach moich, być może, przesadzonych, ale zasługujących byś je wziął pod uwagę.
Ty zbyłeś to wszystko półżartem, traktując mnie jak dziecko, albo jak laleczkę drewnianą. To też po twojem odejściu miałam serce nawskróś żalem ściśnięte, zdawało mi się bowiem, że mnie już wcale nie kochasz. (*Roman podczas słów Anny daje oznaki wiel-*

kiej niecierpliwości i wewnętrznego wzburzenia). Słyszałam nieraz że jest jakiś duch dobry opiekujący się specyalnie pokrzywdzonemi żonami. Otóż w ucisku moim wezwałam owego ducha na pomoc i rzekłam doń: "Miłosierny i usłużny duchu, spraw twoją sztuką czarno-księzką, aby jeden z tych panów których mój mąż tak lekceważy, ukazał się tu nagle w moim salonie, wybierz którego-kolwiek z nich, wszystko mi jedno — i rzuć postać jego do mych nóg — ni.chaj mąż mój tę złudną postać zobaczy, aby przynajmniej jedną chwilę jego pycha, jego zarozumiała pewność skruszonemi zostały." Duch mej prośby wysłuchał i wybrał nie wiem czemu Rodryga.

Roman.

Na Boga, daj pokój niewczesnym żartom, bo nie znasz mnie i nie czujesz jakie piekło mam w duszy (*pada gwałtownie na kanapę i siada na zostawionym tam bukiecie, który porywa do ręki*). A to co? zkąd tu ten bukiet?

Anna.

Zapomniałam ci powiedzieć, że prosiłam mojego ducha, aby ów klęczący cień pojawił się przedemną z bukietem w ręku.

Roman (*rzucając bukiet na ziemię*).

Po raz ostatni mówię ci, nie igraj ze mną, bo sam nie wiem co się ze mną dzieje, ale mam szaloną ochotę tak jak te kwiaty rzucić się pod nogi i deptac (*depce bukiet w najgwałtowniejszym gniewie*).

Anna (*chyląc się prawie mężowi do kolan*).

Ach jakiś ty piękny w tej chwili mój Romanie.... takim cię widzieć pragnęłam, choćby na jedną sekundę (*klaszcze dłonie z dziecinną radością*). Więc kochasz mnie jeszcze mocno, gwałtownie, namiętnie, jak dawniej? więc stoisz jeszcze o mnie? A teraz dość żartu, mój jedyny, najlepszy mężu; przebacz, udobruchaj się i posłuchaj całej prawdy. Rodryg z powodu dzisiejszego balu przyniósł tu bukiet za przegrany do mnie zakład. Zakład ten wczoraj przy tobie był zawarty i wiem, że o tem doskonale pamiętasz, bo sam się zakładać chciałeś. Potem ów Rodryg bez żadnego powodu zaczął do mnie gruchać nieco.... romansownie. Ja nabrałam go z góry, może za bardzo. Zmieszany, a jak wiesz, lubiący dramatyczne sytuacye, nadszedłeś.... Oto jest wszystko, cała naprawdziwsza prawda, a teraz podaj mi ręce i patrz mi w oczy tak zbliska i śmiej powiedzieć, że cię nie kocham i śmiej powiedzieć, że nie wierzysz moim słowom mojemu przywiązaniu bez granic.... (*Roman, który miał cały czas głowę w dłoniach ukrytą, podczas ostatnich słów Anny podnosi oczy na żonę, podaje jej ręce z rozrzewnieniem i znać że to co słyszał uspokoiło go zupełnie*).

Roman.

Przywiązanie bez granic istnieje może.... I w tej chwili pragnę, potrzebuję w nie wierzyć, ale ufność bez granic jest czczym i niedorzecznym frazesem, którego już nigdy z ust moich nie usłyszysz.

Anna.

O mój najmilszy, jedyny Romanie, mówiąc między nami to mnie o tę ufność nigdy zbytecznie nie chodziło i wolę już od biedy byś mnie kochał bez ufności, niż żebyś mi ufał nie kochając.

Roman (*całuję żonę w rękę i wstaje*).

Ha! oddycham nareszcie.... Bogu dzięki, że ta piekielna zmora przestała mnie dławić!... a teraz powiedz mi, jakże będzie z dzisiejszym balem — ja jestem gotów, jak widzisz, ale zwracam twoją uwagę, że mój frak zgnieciony nieco a mężeł od krawaty wcale się nie udał.

Anna.

O! jeźli węzeł się nie udał to lepiej zostańmy w domu.